

Noty o miejscu

Czytanie dawnych autorów ma swoje niewątpliwe korzyści, choć jednocześnie naraża na zarzut eskapizmu czy pięknoduchostwa. To przecież zajmowanie się tym, co minione, czyli mało użyteczne, a może nawet niepraktyczne. Jednym z dobrodziejstw staroświeckich lektur jest jednak właśnie coś mniej wymiernego, a zarazem o wiele bardziej trudnego do zdobycia w inny sposób. Oto w bliskim kontakcie z co nieco anachronicznymi już dziełami zyskać można cenny dystans do świata współczesnego, wydawałoby się – wyjątkowego i nieporównywalnego z żadną inną epoką, bo przecież złączonego z moim jednostkowym „ja”. Tymczasem obraz rzeczywistości jest tworem zmiennym, podobnie jak ona sama, częściowo podlega procesom fizycznym, biologicznym i społecznym, a częściowo chaotyczna. *Imago mundi* zależy od tak wielu czynników (jak choćby czas, miejsce czy osoba patrzącego), że w każdym przypadku obraz ten jest różny w szczegółach. Ta proteuszowa zmienność nie jest ani wadą, ani zaletą. Po prostu wynika z natury świata i niestałości naszej własnej egzystencji. Z jednej strony nie pozwala się trwale przywiązać do jednej perspektywy i zmusza do ciągłego (na ogół daremnie) wysiłku zmieniania siebie lub świata, a z drugiej – obdarza wiarą w pomyślny obrót zdarzeń, daje kolejną szansę, wyzwala z chwilowego przygnębienia. Dzięki historycznym przekazom, rozmaitym zapisom, a zwłaszcza dzięki dziełom literackim mój indywidualny ogląd świata wspiera się o widzenia wcześniejsze, zyskuje dodatkowe pary oczu wymierzone w przeszłość. Ich wzrok tworzy swoisty pomost, po którym mogę się przechadzać nad Heraklitemską rzeką aż po sam mrok. Ale równie duża część mojego obrazu rzeczywistości wynika z doświadczeń bezpośrednich. To podstawa mojej świadomości, która określa też mój sposób myślenia. Historyczność i rozum spotykają się więc z teraźniejszością i zmysłami. I znów „ja” musi zmierzyć się z tym wszystkim, co pozostaje poza podmiotem poznającym, czyli z „nie-ja”. W ten sposób dzieło natury, praca pokoleń, przestrzeń zewnętrzna i horyzont metafizyczny, a na koniec zawsze moje jednostkowe „ja” w określonym czasie i w konkretnym miejscu scalają się w jeden punkt.

Jeśli o tym wszystkim tutaj piszę, to tylko z przekonania, że próbując zdystansować się od własnego widzenia świata, chciałbym na mikroskopowym szkiełku postawić może najważniejszy jego element, główny składnik tego wewnętrznego pryzmatu, w którym odbija się postrzegana przeze mnie rzeczywistość. Ponieważ w takim wywodzie dawka subiektywizmu zdaje się wyjątkowo silna, posłużę się porządkiem

fragmentarycznym, być może łągodzącym przez swe rozproszenie nadmierną egocentryczność spojrzenia.

W pierwszej połowie XIX wieku młodzi romantyczni podróżnicy skierowali swoją uwagę w stronę ziem dawnej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Wyruszając w długie ekskursje, liczyli na możliwość poznania tego, czego już właściwie nie było, co zniknęło z kolejnymi aneksjami sąsiadów, co rozpadało się w pył jak zamki Piastów, a nawet miasta Jagiellonów.



Napoleon Orda, *Biecz nad rzeką Ropką (Galicya)*, fbc.pionier.net.pl

Peryferyjne miejsca na mapach wielkich potęg europejskich miały im przypominać o własnym rodowdzie, wyświetlać przeszłość za pomocą oglądanych w podróży widoków. Dawna epoka nieuchronnie minęła, zapełniły się karty pamiętników i wspomnień, rozszumiały soplicowskie łąny. *Ubi sunt qui ante nos fuerunt?* Młodzi romantycy wyruszali więc, aby spotkać przeszłość i zrozumieć teraźniejszość. Karpaty zachodnie i wschodnie, Tatry, Pieniny, Spisz, Pokucie, ale też zapomniane podkarpackie miasteczka stały się celem niejednej wyprawy. Literaci, malarze, uczeni, dziennikarze – zapisywali skrzętnie relacje z tych podróży, szkicowali i rysowali, utrwalali inskrypcje i detale. W roku 1856 opis tego rodzaju wędrówki pt. *Ustęp z wycieczki po okolicy podgórskiej* ogłosił Lucjan Siemieński, poeta, pisarz, publicysta, krytyk literacki, uczestnik powstania listopadowego, znany przede wszystkim jako tłumacz *Odysei* Homera. W swojej „wycieczce” dotarł ostatecznie do sędziwego i zapomnianego miasteczka, ukrytego bukolicznie pomiędzy wzgórzami Beskidu Niskiego. Oddajmy jednak głos pisarzowi:

Dawno już nie miałem przyjemności jechać tak fantastyczną drogą jak ta, co prowadzi do Biecza od strony Rozenbarku. (...) O paręset kroków, na wzgórzku, pokazał się

kościół farny biecki, szkarpiasty, z ostrzystą facyatą gotycką, z wysoką obok stojącą wieżą, wszystko z czerwonej cegły pomieszanej z polewaną, która gdzieniegdzie szła w kostkę, gdzieniegdzie w kraciate lub ząbkowate wzory; kilka starych lip, mur wyszczerbiony obronny strzelnicami, a dalej nieco baszta okrągła przypierająca kiedyś do bramy wjazdowej i jakiś gmach niedzisiejszej struktury – wszystko, w gęstej zieleni sadów przedstawiało pejzaż skończonej piękności, a tak odrębny od dzisiejszych widoków, że mi serce zabiło mocniej jak bije kiedy szukając po księgach bibliotek natrafiasz na jaki rys nieznan z naszej przeszłości, lub rzucający większe na nią światło. Wiek Jagiełły i obu Zygmunatów przesłał mi słowo pozdrowienia. Zdawało mi się, że z gotyckich drzwi kościoła wychodzi niewieścia postać i rozdaje jałmużnę ubóstwu cisnącemu się do stóp swojej królowej – tam znowu z okna mieszczańskiego domu wygląda chłopię i przypatrując się cudnej dolinie Ropy i tym opasującym ją szczytom błękitnawych Bieskidów, czerpie w młodą pierś miłość do tej ziemi, której bogactwa i dzieje miało kiedyś opisać. Jadwiga i Kromer, dwa niepożyte imiona, dwie gwiazdy świecące nad Bieczem: miłosierdziem i sławą.

Pomijając *praetium affectionis*, jakie można mieć dla Biecza ze względu na pamiątki, sama fizjonomia i charakter tych murów co na przylądku usiadły aby patrzeć na szemrzącą górską rzekę skaczącą po zielonej, nieprzejranej dolinie, wzdłuż której wieszają się szafirowe Bieskidy – ma tyle malowniczości, że się dziwić dlaczego w Bieczu nie rodzą się sami malarze? Możeby później jaki Salvator Rosa mówił z przekąsem: *Tutto il mondo e pittore*: ale przynajmniej zjawisko to możnaby sobie przez miejscowość wytłumaczyć. Co do mnie, przyznaję się, gdybym miał wtedy pędzel i farby, niezawodnie zostałbym autorem pejzażu, tak mi się łatwo zdawało przenieść te cuda na papier lub płótno. Na szczęście nie miałem nawet ołówka, na czym świat artystowski niewiele stracił, równie jak czytelnicy niewiele zyskali gdy słowami silę się malować pejzaże. Niewdzięczna praca! Zupełnie podobna do tych widoczków układanych z zasuszonych listków, mchu, kory brzozy i folgi mającej udawać wodę¹.

Lucjan Siemieński odnalazł w tym miejscu zapomnianą przeszłość i zachowaną wciąż urodę pejzażu. Nawet jeśli odsuniemy na bok jego romantyczną ekspresywność, to i tak pozostaje wyraźnie odczuwana wyjątkowość miejsca, które niejako domaga się dopełnienia w słowie i obrazie. Potwierdzenie tego doznania znajdujemy w szkicach i rysunkach odwiedzających w tym czasie podkarpackie miasteczko Adama Gorceżyńskiego (Jadama z Zatora), Rudolfa Alta, Jana Matejki, Napoleona Ordy, Stanisława Wyspiańskiego, Apolinarego Kotowicza. Wiele z tych rycin trafiło do ówczesnych czasopism, na nowo „odkrywających” dzieje galicyjskich okolic dla spragnionych wiedzy czytelników. Siemieński nadmienił, przywołując

nazwisko Salvatora Rosy, że potencjalne zjawisko artystyczne można „przez miejscowość wytłumaczyć”. Zrodzone właśnie tu, miałyby swoje odrębne, charakterystyczne cechy, a duch opiekuńczy miejsca obdarzały nimi śmiałków, którym zamarzyłoby się artystyczne rzemiosło.

Sto lat później terenami tymi wędrował inny poeta, Miron Białoszewski, jeszcze kilka lat przed swoim opóźnionym debiutem. Na początku lat pięćdziesiątych rozciągnięta barwnie na południowo-wschodnich krańcach powojennej Polski, prowincjonalna Rzeszowszczyzna wydała mu się zadziwiająco krainą przeszłości, w której ślady minionych wieków łączyły się harmonijnie z naturą, zwłaszcza w porównaniu ze zrujnowaną Warszawą. Wspólnie z przyjacielem z Żarnowca zaglądał więc w zapomniane miejsca, odwiedzał stare kościoły, podziwiał kapliczki i nagrobki. Podobnie jak Siemieńskiego zatrzymał go też widok miasteczka nad Ropą, który w wyobraźni poety przemienił się w sugestywną wizję zgodności natury i kultury, przebłysk harmonii świata i piękna ludzkiego życia. Napisał o tym w wierszu następująco:

W zielonym wzgórzu
utkali gotykiem
gród
złotników
pasamoników
białoskórników

Czerwone figury
szły na najznamienitsze mury:
...bramy krojone w łuki
od spodu
baszty kołem wypukłe
od czuba,
cynobry obronne na zrębie,
dzwonnica zakrzepła
w kieszce jarzębin,
między małą jarzębiną Barbary
a kwadratami wschodzącymi
nad kwadraty
w attyce Fary
szczyt szkoły chirurgów
i szczyt szkoły katów
niby zęby we krwi
szkarłatnej;
Wreszcie – serce Biecza –
wieża ratuszowa
najwyższa i najbledsza.

Tkali gród na wzgórzu,
tkali gród średniowieczny...
(...)²

Ta symboliczność starego grodu wciąż musiała być mocno odczuwalna. Siemieński dostrzegał w nim

1 L. Siemieński, *Ustęp z wycieczki po okolicy podgórskiej*, „Czas. Dodatek Miesięczny” 1856, t. III, s. 374–375.

2 M. Białoszewski, *Średniowieczny gobelin o Bieczu*, w: tegoż, *Obroty rzeczy*, Warszawa 1957, s. 18.

przede wszystkim świadectwo historii, a wraz z nią całą, imponującą epokę od Jagiełły po obu Zygmun-
tów, monumentalizm gotyku i blask renesansu. Bia-
łoszewski z kolei miejsce to po malarsku „zobaczył”,
wydobył z cienia niewidoczne kolory, odsłonił deta-
le, utkał misterny gobelin jak dawny mistrz cecho-
wy. Z pewnością są miasta bardziej okazałe i zdobne
w historyczną tkaninę, dziedziczące więcej po boga-
tym mieszczaństwie i łaskawych wyrokach historii,
ale w tym akurat skrywa się coś nieuchwytnego, ja-
kieś niezwykle połączenie krajobrazu i przeszłości,
bardzo polskie, rozpoznawalne jednym rzutem oka.
W opowiadaniu *Trębacz z Samarkandy* Ksawerego Pru-
szyńskiego jeden z bohaterów, wspominający gdzieś
w dalekim Uzbekistanie ojczysty krajobraz, pyta na-
głe: *Czy pamiętasz może Biecz, przycupnięty w górach,
omszaly? Nie znaleźliśmy naszych miast!*³. Ten sam kra-
jobraz kryje się również w mojej pamięci. Wnikał do
niej niespiesznie, najpierw widokiem z domowego
okna, potem codziennymi ścieżkami wzdłuż murów,
baszt, barbakanu czy fary. W końcu przestrzeń za-
mieniła się w miejsce. W którymś momencie stało się
ono czymś przyswojonym i ważnym, swego rodzaju
miarą dla oczu, którą przykłada się później do wielu
innych miejsc. Nie zawsze był w tym sens, bo rzeczy-
wistość wielkich skupisk ludzkich nijak się miała do
małomiasteczkowej przestrzeni i swoistego bezczasu,
w jakim się tam egzystuje. Ale i tak pozostawało nadal
wrażenie obcowania z czymś w rodzaju esencji cza-
sowo-przestrzennej, w jakimś symbolicznym *pars pro
toto*. Yu-Fi Tuan zauważył, że doświadczenie miejsca
łączy się zawsze z poczuciem czasu i cyklem ludzkiego
życia. Oto czas odczuwany przez dziecko nie „pły-
nie”, lecz „stoi”, świat jest wówczas wyłącznie teraźniej-
szością, „rytmem przestrzeni”. Potem jednak wszyst-
ko się kończy, a dorastający człowiek czuje się tak, jak
*gdyby siła odśrodkowa wyrzuciła go z jego niezmiennos-
ci i wtrąciła w środek rzeczy, które przychodzą i odcho-
dzą na zawsze*⁴. W ten sposób życie zostaje obezwład-
nione przez czas, teraźniejszość znika, a królestwo
przeszłości poszerza się nieustannie. Wszystko staje
się od tej pory inne. Czy zatem jest tak, że miejsce
porusza w człowieku określoną strunę, która dźwię-
czy mocniej i dłużej? Czy otwiera w nim szczególny
rodzaj wrażliwości, który nie ujawniłby się w innej
sytuacji lub może ujawnił, ale inaczej? Wiele zdaje się
za tym przemawiać, choć wymaga to także gotowo-
ści samego „ja”, akceptacji tego uniwersum, w któ-
rym toczy się jego życie. W moim przypadku „muzyka
miejsca” zadźwięczała intensywnie i czysto, wpłynęła
na rodzaj patrzenia i odczuwania, określiła po części
sposób przeżywania. Jej najbardziej wyrazistym gło-
sem zdaje mi się świadomość czasu, zarówno trwania,
jak i przemijania. W miejscu, w którym zdecydowanie

wyraźniejsza jest obecność przeszłości niż skromna
teraźniejszość, poczucie czasu staje się doświadcze-
niem skomplikowanym. Odczułem to wielokrotnie,
przemierzając skarpy i fosy, zaglądając do sien, piw-
nic, zakamarków ruin. Gdy przed laty doprowadzano
instalacje gazowe do gotyckiej kolegiaty, z płytkiego
wykopu wszędzie wyglądały rozrzucone kości, uświa-
damiając dobitnie, że to miejsce należy również do
dawnych mieszkańców, a przeszłość to „dziś, tyl-
ko cokolwiek dalej”. Drugim słyszalnym tonem tego
locus amoenus jest natomiast piękno wizualne, ład
przestrzeni, harmonia domu i natury. Wszystkie ma-
terialne i niematerialne ogniwa tego pejzażu scalają
się niemal w archetyp, pierwotny wzór postrzega-
nia świata. Ta wizja uporządkowanej, funkcjonalnej
i bliskiej człowiekowi przestrzeni pozostaje w pamięci
na zawsze. „Podarowane” w ten sposób dyspozycje
nie muszą mieć swoich artystycznych konsekwencji
i mogą łączyć się tylko ze specjalnym wyczuleniem na
znaki przeszłości lub kształt krajobrazu. Jeśli jednak
są czymś więcej i rezonują przez lata w świadomości
twórcy, wnikając do jego artystycznego świata, po-
zostaje mu dać świadectwo tego wewnętrznego pro-
mieniowania i zrodzonego stąd dialogu. Byłoby też
jednak nieprawdziwe stwierdzenie, że pamięć miejsca
jest zapisem trwałym i niezmiennym. Podobnie jak
samą przeszłość, także i ją cechuje labilność i ryzy-
ko rozchwiania. Z czasem może stać się „omszala”,
fragmentaryczna, wyblakła, zamieniona w melan-
cholię. Ale przecież nie przestaje wypemniać świado-
mości i egzystować na swój własny sposób w życiu,
micie czy wierszu.

Datowanie słów metodą radiowęglową

Pomyślałem wtedy, że to miejsce jest moje,
że mnie potrzebuje i w każdej chwili zrywa
ze mnie zielone gałązki, a ja odrastam jak wierzb
i wtkami rozciągam skórę w jego ulice,

w ciasne kwartały kamienic, w czerwone cegły,
kamienie, bruk, a nawet glinę w kolorze ciała,
która powoli rozkłada moją krew. Ślady bledną,
mieszają się z powietrzem i osuszone wiatrem

znikają za żaglami chmur. Czas połowicznego rozpadu
zaczął się dawno temu, a teraz dotknął mnie całkiem
zwyczajnie w kwietniu albo w listopadzie, gdy w języku
wykryto zwapnienia, pęknięcia i postrzępione włókna.

Ten cały pył wnika już w ziemię, pod kamienie i ilastą
glinę, rozkłada wierzbowe wtki i stygnie w nieruchomej
lawie, pełnej zakamarków i liter wypadłych ze słów,
których nikt już nie zbada bez pomocy węgla.

3 K. Pruszyński, *Trębacz z Samarkandy*, „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” 1943, s. 2.

4 Yu-Fi Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstęp K. Wojciechowski, Warszawa 1987, s. 231–232.